№ 17. Warszawa, dnia 16 (28) Kwietnia 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

Z literatury bieżącej.

D-r Antoni J. Szkice i opowiadania, serya V. Wydane w Warszawie.

(Dokończenie.)

Stanisław August, jak mówi Matuszewicz w swych pamiętnikach, miał wtedy „*tylko* dwa kochania" (wyrażenie charakterystyczne dla obyczajów epoki), dwie Sapieżyny; starościna opeska podobno zajęła trzecie miejsce, przynajmniej jej portret figurował w zbiorze wizerunków ulubienic królewskich. Wydał ją król później za awanturnika cudzoziemskiego „grafa Manuzzi", niezbyt zaszczytnie znanego w dziejach Targowicy i później, ale i z tym mężem piękna starościna wkrótce rozstała się i zmarła jeszcze nie stara 1778 r. W zakończeniu opowiadania autor podaje dzieje rodziny Manuzzich, rozwlekłe i nieciekawe.

W następnym szkicu mówi nam znowu autor o postaci niewieściej, była to „wpływowa kobieta", niejaka Tymanowa, która początkowo, jeszcze w ostatnich latach panowania Augusta III, była żoną jakiegoś kapitana i zarządzała domem znanego podskarbiego Fleminga, krewnego i stronnika Czartoryskich; potem została starościną roszkowską, a w końcu małżonką Bystrego, kasztelana brzeskiego. Pani ta wywierała pewien wpływ na intrygi bezkrólewia i pierwszych lat panowania Stanisława Augusta, ale w ogólności opowiedziane przez autora wypadki i sprawy, zaczerpnięte głównie z wydanych 1876 roku Pamiętników Matuszewicza, nie posiadają doniosłej wagi i dlatego szczególnego interesu nie wzbudzają.

Dalej idzie szkic p. t. „Drużyna literacka". Przedstawia tu nam autor dom literata i poety Stanisława Starzyńskiego, który używał pseudonymu Stacha z Zamiechowa. W domu jego w Ustroniu zbierali się przed 1830 rokiem wybitniejsi literaci i poeci z Wołynia i Podola jak Januszkiewicz, Maurycy Gosławski, Tymon Zaborowski (wieszcz Miodoboru) i inni, których sylwetki tu znajdujemy.

Starzyński był wielbicielem młodziutkiej wówczas panny Delfiny Komarówny, która następnie wyszła za Potockiego i została „Beatryksą" Zygmunta Krasińskiego. Rysy tej piękności Stach z Zamiechowa rozkazał uwiecznić w marmurowej postaci anioła, którą postawił w kościele na grobowcu swego dziadka; opierał się temu biskup kamieniecki Mackiewicz, zkądinąd dosyć wolnomyślny, uważając za zgorszenie wystawienie nagiej postaci pięknego anioła, ztąd zabawny zatarg jego ze Starzeńskim, który groził nawet przejściem na protestantyzm, ale w końcu postawił na swojem.

W szkicu tym, jak i w poprzednich, dużo jest szczegółów nieważnych, ale sporo także ciekawych a nawet wiadomości o lożach masońskich, o życiu publicznem i literackiem na Podolu, o ówczesnym teatrze w Kamieńcu i t. d.

Zamknięcie zbioru stanowią trzy wizerunki „Skromnych pracowników": Jana Gwalberta Styczyńskiego, nauczyciela szkół winnickich i literata autora wielu dzieł dziś zapomnianych; ks. Marczyńskiego, który pracował na niwie statystyki, wówczas mało uprawianej i Henryka Jabłońskiego poety, zmarłego 1868 r. w Zanzibarze, autora zbioru p. t. „Gwido i Dumki". Trzy te sylwetki obfitują w szczegóły mało znane: pierwsza szczególniej zawiera sporo przyczynków do dziejów szkoły winnickiej i ruchu umysłowego na Podolu, potrąca tu też autor mimochodem o ciekawą postać ks. dyrektora Maciejowskiego, którego życie było pasmem osobliwszych przygód.

Z niniejszego krótkiego przeglądu ostatniej pracy doktora Rollego, wypada wniosek, napomknięty przez nas już powyżej, a mianowicie, że te opowiadania w ogóle są słabsze od dawniejszych, a niektóre z nich są za rozwlekłe i dosyć błahe, niekiedy nawet nacechowane nużącą gadatliwością. Oto np. całkiem zbyteczna gadatliwość objawia się w takich refleksyach autora na str. 247, gdzie mowa o tem, że Koniecpolski, za życia drugiej swej żony musiał słyszeć (!) o piękności Zofii Opalińskiej, ale nie zwracał na nią uwagi, nie przystawało bowiem senatorowi zaglądać w oczy białogłowie tembardziej, że wiek stateczny, syn dorastający żyjąca żona i t. d. Albo na str. 259 dochodzenie

co mogło skłonić Zofią do oddania ręki temuż Koniecpolskiemu: nie czerstwość, nie wymowa i t. d. (wszystko bardzo obszernie).

Zawsze jednak i w tej wiązance szkiców, jak zaznaczyliśmy powyżej poszczególnie, znajdzie się wiele rzeczy nowych, zajmujących, charakteryzujących dawne życie publiczne, umysłowe i rodzinne.

Zasługą autora jest i to także, iż czerpał z niektórych źródeł rękopiśmiennych lub drukowanych, mniej znanych u nas jak np. wydawnictwa aktów urzędowych przez komisyą archeograficzną kijowską i wyborne czasopisma historyczne rosyjskie „Ruskij Archiw“ i „Ruskaja Staryna“.

Dostrzegliśmy w wielu miejscach pewną ilość pomyłek. Tak np. na str. 9 Karol nazwany stryjem *króla szwedzkiego*, chociaż tenże król szwedzki Zygmunt był wówczas także i królem polskim. Rok 1614 nie był już epoką samozwańszczyzny, która skończyła się w roku 1612, a nawet w roku 1611 (str. 14). Władysław IV w roku 1617 nie był siedemnastoletnim młodzieńcem, gdyż liczył rok 22; również wówczas, za życia ojca, nie był i być nie mógł w. księciem Litwy (str. 24). Zamiast z pod *Pilawy* (str. 146) powinno być z pod Piławiec. Na str. 177 autor wypowiada własną hypotezę, jakoby zaraza morowa, na którą zmarł także ks. Jeremi Wiśniowiecki w roku 1651 była *cholerą*. Na str. 199 i 200 zamiast *Szeremietiew* autor, zresztą śladem pisarzy dawnych, pisze *Szeremet*. Klasztor Benedyktynek w Wilnie nie został zamknięty w roku 1794 (str. 321), gdyż istniał jeszcze niedawno, za dni naszych.

Styl autora, jak zwykle, jest ożywiony i dosyć gładki, o ile nie bywa rozwlekłym; w języku znaleźliśmy nieco usterek i prowincyonalizmów jak np. konie *nawjuczone* (zamiast *objuczone* str. 233) albo *szarzéć* po kątach, w znaczeniu *szukać, szperać, przetrząsać* (str. 245 i często w innych miejscach).

Pomyłki korekty są niekiedy ważne i pocieszne: tak np. na str. 24 zamiast: wszyscy senatorowie obecni w *bitwie*, powinno być w Litwie; albo na str. 135 *dziadki* strażnika, zamiast *dziatki*.

L. S. W.

Z Alfreda de Musset.

URYWEK.

Dante, czemu ty mówisz: „Najgorsza to nędza
Wspominać w chwilach smutku jasnych dni
[obrazy?"
Cóż ci tak gorzkie myśli do duszy napędza
I tak bluźniercze wyrazy?

W zachodzie blask słoneczny gaśnie; mamyż przeto
Zapomnieć o nim z nocą, gdy nastaną cienie?
Tyżeś to, wielki duchu, smętny nieskończenie,
Tyżeś to wyrzekł, poeto?

To bluźnierstwo byłoby twej pamięci plamą!
O nie! cześć nasza niechaj w zwątpieniu nie chłodnie;
Wspomnienie dni szczęśliwych jest nam niezawodnie
Cenniejszem, niż szczęście samo!

Emilia.

NIE UTONĄŁ.

NOWELLA

NAPISAŁA

Zbigniewa Zmorska.

(Dalszy ciąg.)

Pan i sługa, stoją naprzeciw siebie, spoglądając sobie prosto w oczy. Surowy chlebodawca, zatapia ostre, badawcze spojrzenie w jasnych, spokojnych źrenicach chłopaka.

Chwila milczenia, którą przerywa tylko stukotanie okien, naciskanych z zewnątrz gwałtownością śnieżnego huraganu.

Na twarzach zebranych maluje się zdumienie w tylu różnych odcieniach, że nieudolne nasze pióro nie będzie się siliło na ich oddanie.

Od etażerki za fortepianem para ogromnych czarnych oczu, patrzy na Jana, otwarta szeroko przerażeniem, zmieszanem z gorącem uwielbieniem. Właścicielka ciemnych tych, ogień zionących kraterów, z paką nut w ręku, stoi bez ruchu, zamieniona w posąg, mocą wrażenia wywołanego zajściem rzeczy nieoczekiwanych.

— Boże — rozmyśla z rozpaczą — ten człowiek oszalał! — No, teraz może się pożegnać z Wańkowcami na całą wieczność i ja nic już na to nie poradzę! Potrzeba mu recytować to wszystko, wobec tylu obcych osób? Potem, wypadnie mu tylko ukłonić się i pójść precz, zkąd przyszedł. Warto było namęczyć się tyle, by zapewnić mu bezpieczeństwo, wybierać się do Warszawy, nauczyć hipokryzyi i dźwigać tak długo, z takim trudem, tajemnicę pierwszą w mem życiu. Gdybym przynajmniej mogła się gniewać, lecz czuję na złość, że muszę go uwielbiać. Nie ma co obwijać w bawełnę, on mnie zachwyca! Nie znam okoliczności skłaniających go do tego postępku, ale zuch! Idzie wprost w ogień, bez drgnięcia powieki. Dzielny chłopak i jestem z niego dumną. Ciekawa rzecz, jakie też szczególne prawo mam do tej dumy? Ale mniejsza o prawo! Pokazuje się, że piękne postępki dusz szlachetnych, posiadają własności uniwersalne. Wolno każdemu cieszyć się niemi jak wonią wspaniałego, bardzo niestety rzadkiego kwiatu.

Z ognistych czarnych oczu, wydzielają się widocznie tajemnicze jakieś sympatyczne prądy, gdyż Jan z twarzy hrabiego przenosi zwolna spojrzenie w kątek za fortepian, przy czem lekki, ledwie dostrzegalny uśmiech, zarysowuje się na jego ustach. Odcień ten wesołości, znamionującej wewnętrzny spokój i pewność siebie, zwraca uwagę pana domu, który głaszcze brodę trochę zaambarasowany, więcej zaś daleko zajęty tą historyą.

— Dlaczego nie powiedziałeś mi pan wprost kim jesteś, nie odkryłeś mi wszystkiego? — Przemawia uprzejmie. — Bylibyśmy znaleźli ci inne, stosowniejsze stanowisko. Miałeś prawo szukać u mnie pomocy, jakiej każdy obywatel żądać może od obywatela.

Po ustach Jana błądzi uśmiech łagodny, zaprawiony domieszką melancholii.

— Szukam tylko pracy, panie hrabio — odpowiada spokojnie. — Tej nie byłbyś pan dał mi wówczas, jak nie zechcesz trzymać mnie w służbie nadal, dowiedziawszy się kim jestem. Dyplomom mym szlacheckim nie stało się nic przez to, że leżały przez czas pewien w stajni, na dnie mego kuferka. Nie odbierze mi nikt do nich prawa, dlatego, że przez półtora miesiąca czyściłem pańskie konie. Inkognito musiało być ścisłe i nie byłbym go odkrył nigdy, gdyby nie okoliczności zmuszające mnie do tego. Przed chwilą dowiedziałem się o krzywdzie, jako ludzie wyrządzają twej córce, jak również, dlaczego ta córka opuszcza dom ojcowski. Bóg świadkiem, dziś dopiero usłyszałem, że o pannie Annie i o skromnej mej osobie krążą po świecie błędne, nikczemne jakieś wieści. Szczęście, że doszło to do mych uszu, póki jeszcze pora. Panie hrabio, dziecko twoje jest jak dyament czyste! Gdybym jak pan był ojcem, byłbym z niej dumnym; gdybym miał taką siostrę uważałbym za zaszczyt nazywać się jej bratem; będąc zaś sobą... jeśli kiedykolwiek losy obdarzą mnie żoną, pragnąłbym by jej była podobną.

Spokojny, dźwięczny głos mówiącego, przy ostatnim słowie łamie się lekkim, zaledwie pochwytnym dźwiękiem dysonansu, mimowolnie odzywającym się z głębi piersi, opiętej szczelnie dwoma rzędami guzików herbowych, połyskujących świetnie, na tle piaskowej liberyi. Młody człowiek zatrzymuje się na chwilę i oddycha zlekka, patrząc poważnie w twarz hrabiego, który słucha go uważnie, nie tracąc jednego słowa.

Po uroczej buzi panny Anny, przelatuje błyskawica wesołości, w przestraszonych oczach pojawiają się figlarne, dyablikowate blaski.

— Proszę — przemawia do siebie w duszy, z uczuciem silnego zadowolenia — i on jest ze mnie dumnym! Jeśli teraz wytrzymam i nie powiem mu, że nie tyle z pewnością ile ja z niego, to dlatego tylko, iż z zasady nie znoszę kobiet psujących mężczyzn. Gdyby mi przecież zechciano wytłomaczyć, jakim to wzniosłym czynem zyskałam sobie tyle względów? wdzięczność moja nie miałaby granic! Jakże to życie łatwem jest, gdy zbieramy tryumfy, niewiedząc sami za co i jakim sposobem.

— Córka pańska znała me pochodzenie — ciągnie dalej Jan zniżonym głosem — wypadek oddał w jej ręce mą tajemnicę, którą z całym zapałem szlachetnej, niewinnej duszy, postanowiła osłaniać, tą niespożytą dobrocią zacnego, niewieściego serca, przed którą my szorstcy, twardzi ludzie pochylamy zawsze głowy. Panie hrabio, masz córkę, z której kiedyś wyrośnie ci ów przepiękny typ kobiecy, zwący się w mowie ludzkiej: zmiłowaniem Bożem. Ja przynajmniej nie spotkałem nigdy natury tak dzielnej i razem przejrzystej i jak sądzę, niewiele takich spotkam w życiu. Przyszedłem powiedzieć to panu, wobec zebranych tu tych panów, jak również prosić... teraz, gdy wiecie kto jestem... o rękę jej... naturalnie, po to tylko, by mogła odmówić mi publicznie, tak jak publicznie została oczernioną — dodaje prędko, z prostotą, która dziwnie chwyta hrabiego za serce.

Imponujące oblicze pana domu, rozjaśnia się jak słońce. Odwróciwszy się od Jana, spogląda na dziewczynkę z cichem, głębokiem rozradowaniem. Wiele rzeczy rozjaśnia się w tej chwili w jego umyśle, a gorące pochwały, składane u nóg ślicznego szatanka, napełniają ojcowskie serce bezmiernem zadowoleniem. Popatrzywszy w oczy córki, hrabia uśmiechnięty łagodnie, ujmuje rękę swego stangreta, ściskając ją serdecznie.

— Jesteś uczciwym człowiekiem, panie ***ski... i nie dziwię się temu, gdy wiem teraz kim jesteś. Dziękuję ci... ale to rzecz nie moja. Oświadczaj się pan Anusi i niech ona ci odmawia!

Minuta milczenia.

Wrażenie ogromne, naprężenie umysłów ogólne, wszystkie piersi lękają się odetchnąć. Zdaje się, że nawet śnieżyca wstrzymała się w szumnym swym pochodzie i przylgnąwszy do szyby, przyciszona czeka na rozcięcie na ostrzu noża postawionej kwestyi.

W fizyonomii panny Anny zachodzi gra rysów nieokreślona. Bez chwili namysłu, rzuca trzymane nuty na etażerkę, wychodząc z po za fortepianu na środek salonu.

— Jestem — przemawia niezrównanym akcentem, żartobliwej powagi — oświadczaj się pan tylko urzędowo, gdyż ja takich rzeczy inaczej nie pojmuję.

— Słusznie — odpowiada młody człowiek, z właściwym sobie poważnym uśmiechem. — Należy się to pani, byś miała sposobność odmówić mi równie urzędowo.

— Właśnie. Więc słucham.

Stangret Jan, staje przed nią nieporuszony, lecz trochę blady.

— Seryo i urzędowo, poważnie i z głębi duszy, proszę panią o rękę.

— Oto jest — z figlarnym gestem królowej, podając mu rączkę odpowiada dziewczynka. — Tak mój panie, biorę cię sobie za małżonka w tym surducie, galonach i z tym kapeluszem, którego mówiąc nawiasem, nienawidzę całem sercem! Mam wprawdzie niestety ogromny majątek, a pan równie olbrzymią dumę, lecz to nie powinno nam przeszkadzać. Nie wspomnimy nigdy o różnicy stosunków naszych finansowych. Będę dobrą, poczciwą żoną, obiecuję nawet słuchać cię niekiedy, gdyż wiem, że umiesz rozkazywać. Weźmiesz mnie pan? prawda? Musisz wziąć, to trudno! Boże, ta flegma! Czyż pan naprawdę nie ożywiasz się nigdy?

Młody człowiek ujmuje wyciągniętą ku sobie rączkę, ze spuszczoną głową zwracając się do pana domu.

— Panie hrabio... — poczyna.

Lecz hrabia odwraca się od niego, w kompromitujący sposób.

— Nie moja rzecz, drogi panie! — odpowiada wesoło. — Kiedy cię złapano, daj się trzymać, lub wyplątaj się sam z sieci, jeśli potrafisz!

Jan wygląda teraz, jak człowiek olśniony.

Podnosząc na dziewczynę oczy, obejmuje zachwyconem spojrzeniem uroczą jej postać, przyciskając do ust liliową rączkę rozkosznej pieszczochy, patrzącej na niego zaiskrzonemi oczami, płatającego figle dyabełka.

— Pobierzemy się na złość mej ukochanej galicyjskiej cioci! Zrobimy niespodziankę całej okolicy. Straszny smok powiatowej opinii, otwarł paszczę by połknąć niewinnego baranka, tymczasem przekona się, że to był kąsek, od którego potworne jego cielsko... nie mam wcale na myśli kształtów pani Marszałkowej... musi pęknąć! Jednakże, wszystko plecie się pięknie, na tym kochanym, wesołym świecie! Nie myśl pan tylko, żebym się w tobie kochała, bo to nieprawda! — dodaje żywo z prostotą tak dziecięcą, że Jan, a za nim wszyscy, poczynają śmiać się serdecznie.

— Bądź pani spokojną — odpowiada młody człowiek, nie puszczając z dłoni maleńkiej rączki. — Wiem dobrze, że znajdujesz się w tem młodzieńcem stadyum moralnego ocknienia, w którem nie wiemy jeszcze, żeśmy się przebudzili.

— No, jeśli to ma być komplementem! — głosem głębokiego zawodu przerywa dzieweczka. — Młodzieńcze ocknienie! czyli, dzieciątko otworzyło oczęta i nie wie maleństwo, czy śpi lub żyje. Boże, kiedyż nareszcie zaczną mnie uważać za dorosłą osobę?! gdy własny mój narzeczony... lecz nic nie szkodzi! możesz mnie pan obrażać, ile ci się podoba. Aby go przekonać o zupełnej dojrzałości mych uczuć, od tej chwili, poczynam kochać pana mocno, gorąco, stale, wiernie, do śmierci!

Słowa dziewczyny brzmią żartobliwie, słychać w nich przecież tony serdecznej prawdy, które w szarych oczach Jana, zapalają płomienie.

— A ja kocham oddawna — odpowiada ścicha.

— Oddawna?! — z głęboką naiwnością woła panna Anna. — Od kiedy? Nie powiesz mi pan chyba, że byłeś zakochanym wówczas w lesie?!

— Wtedy najwięcej.

— No! — zdumiony okrzyk wydaje nasza bohaterka — zdaje mi się, że teraz już nie ździwi mnie nic pod słońcem! Możecie mi powiedzieć, że kochają się we mnie alpejskie lodowce, granity finlandzkie i kamienne posągi! Uwierzę temu bez chwili wahania. Panie — dodaje tajemniczo — uczucia pańskie, nie muszą być normalnej natury, gdyż uciekałeś wówczas przedemną. Widziałam dobrze, że uciekałeś! Takiej miłości ja nie rozumiem. Idź pani naprzód, nie zatrzymuj się, proszę zważać na gałęzie i korzenie... użyj pani chustki do nosa.

W tej ważnej życia swego chwili, panna Anna, nie może się powstrzymać, by nie naśladować ruchów i głosu narzeczonego. Przejęcie się rolą, przerywa jej wybuch śmiechu Jana, jak również wmieszanie się w sprawę hrabiego, który podchodząc nagle do chłopaka, ujmuje go w ramiona, przytulając do szerokiej piersi.

— Dziękuję ci — wymawia krótko.

Panna Anna spogląda na nich z cichem rozradowaniem, na chwilę pojawia się w jej oku coś jak łza błyszcząca, lecz poczyna się śmiać zaraz, przez nienawiść do dramatu.

— Panie — przemawia z wielką powagą — powiedz mi pan, że mnie kochasz.

— Kocham.

— Raz jeszcze.

Młody człowiek powtarza posłusznie krótkie to słowo, w które dziewczynka wsłuchuje się uważnie, chwytając uchem coraz inne, czarodziejskie jakieś, nowe dla niej dźwięki.

Usteczka jej uśmiechają się rozkosznie, podczas gdy oczy figlarnie patrzą w twarz Jana.

— Zdaje mi się, że znajduję się już w tem stadyum moralnego ocknienia, iż wymówione to słowo, sprawia mi pewną przyjemność. Niedawno jeszcze, gdy powtarzał mi je Endymion, doprowadzało mnie to do rozpaczy.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Ciekawe zapytanie.

W angielskiem pismie Tit-Bits, jedna ze współpracownic jego, rozpisała się dość obszernie o mężczyznach i przypiekła im nieźle swem ognistem i szczypiącem piórkiem. Streszczając to wystąpienie odważnej niewiasty, w tem tylko co dotyczy ogółu mężczyzn bez względu na narodowości, autorka nazywa ich osobliwym *narodkiem*, którzy plotkami się nie trudniąc, pozostawiają je kobietom, a jednak chętnie gromadząc się w klubach i resursach, jeszcze chętniej rozprawiają tam o wszelkiego rodzaju skandalikach domowych choćby najskrytszych i osłoniętych największą tajemnicą. Ile wtedy do malutkiego jądra prawdy przyczepią dodatków, domysłów i przypuszczeń, tu mało która z kobiet potrafiłaby im w takim razie w bujności wyobraźni dorównać.

„Mężczyzni są zawsze konsekwentnymi w swych działaniach. Lubią patrzeć na kobiety, ubrane skromnie, bez mnóstwa niepotrzebnych fatałaszek; ale jeżeli kobieta, ubrana tak skromnie i strojem swym niezwracająca na siebie uwagi, wejdzie do wagonu tramwajowego, może czekać całą godzinę, zanim czciciel oszczędnych gospodyń raczy powstać i ustąpić jej miejsca. Jeżeli natomiast przybędzie tam kobieta, hołdująca wszelkim wybrykom mody i ubrana w strój zwracający uwagę, panowie ci aż podskakują i ubiegają się o zaszczyt stania zewnątrz wagonu.

„Mężczyzni są zawsze w swem własnem przekonaniu bez błędu i nigdy do żadnej winy się nie poczuwają: przytem są próżni i lubią być uważanymi za pełnych wdzięku i pojętności. Chwalą skromność a nieskromności często się dopuszczają: podnoszą wysoko poważne rozmowy, a czczej gadanie lubią się oddawać: ganią przesadę w stroju a radziby sami uchodzić za pierwszych elegantów; szydzą z kobiet rozmiłowanych w błyskotkach a sami przepadają za niemi obciążając się pierścieniami i łańcuchami drogocennemi. Słowem, powiada w końcu autorka, mężczyzni są wielkiem złem na świecie, gniewliwem, krzykliwem i wzajemnie się bijącem, mordującem i zabijającem, a jednak, gdyby się ostatecznie wytępili, żal po nich byłby... niczem nieukojony.

Na ten sam temat, nieznana korespondentka z okolic Sandomierza przysłała do Słowa artykulik p. t. Co to jest mężczyzna, brzmiący jak następuje:

„W mej biednej mózgownicy znajdowałam zawsze odpowiedź na wszystkie kwestye etycznej i psychologicznej natury; jednej tylko nigdy rozwiązać nie mogłam: „co to jest mężczyzna?"

„Jest-to bowiem jakiś dziwny zbiór najskrajniejszych sprzeczności. Dziś bohater, jutro najbardziej pozioma istota; honorowy, a co chwila gwałcący prawa honoru; rozumny, mądry, silny, mężki, a nieumiejący się oprzeć najniższym instynktom i najbrudniejszym namiętnościom; mający serce, uczuwający litość, a zdolny poniewierać i pastwić się bez miłosierdzia.

„Mędrcy i uczeni wszystkich wieków i narodów łamali sobie głowy nad określeniem kobiety; tacy nawet geniusze jak Mickiewicz, nie rozumieli jej i fałszywie ją sądzili, a to jest sobie poprostu biedne i nieszczęśliwe stworzenie, które nawet swego

właściwego miejsca nie ma na świecie i jak każdy błąkający się, niepewne siebie, niemające nawet swego nazwiska, zmuszone wyprzeć się go razem z własnym ojcem, gdy idzie za mąż. Skutkiem tego wszystkiego, lękliwe, wrażliwe, z wieczną tęsknotą w sercu, za tem czemś nieokreślonem, a czego im właśnie niedostaje na ziemi; niemające nawet swej własności i majątku, bo i te, po zamężciu musi oddać mężowi.

„A prawo jak się obeszło z kobietą? Prawda, że je sami mężczyźni pisali i dla siebie. Najrozumniejsza, mająca, przypuszczam, męża prawie idyotę, nie może nic, ale to nic działać bez jego asystencyi. Jakież to śmieszne, a zarazem bolesne!

„Dlaczego nie zadano sobie trudu, żeby określić mężczyznę? Co to jest za istota? Co w nim prawdą, a co chwilowym porywem? Jaka jest głąb' tej przepaści, w której się łączy wszystko najsprzeczniejsze?

„Według mnie, powinna to uczynić kobieta, bo ona go zna najlepiej, bo przez niego cierpi, a powiadają, że cierpienie to dojrzałość, że przez cierpienie dochodzimy do odkrycia najgłębszych prawd!...

X. X."

Tyle jest słów owej odezwy, powiada Redakcya od siebie, a raczej wezwania, wystosowanego przez „cierpiącą" przedstawicielkę piękniejszej połowy rodu ludzkiego do „współcierpiących..." zapewne. Wątpimy bowiem, aby nie cierpiące od mężczyzn i przez mężczyzn kobiety, podzielały zdanie szanownej naszej korespondentki, co do potrzeby analizowania i określania pojęcia tak prostego, za jakie uchodziło zawsze pojęcie mężczyzny. Czy za wiele jest u nas kobiet od rodzaju męzkiego prześladowanych i gnębionych, o tem pouczą nas zapewne skutki powyżej zamieszczonej odezwy.

WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

Wpół do ósmej wybiło na zegarach miejskich, słońce schylało się ku zachodowi i ciemność zwolna nieprzejrzanym swym płaszczem otulała ziemię. Na bulwarach ludno było i gwarno, przechodnie płynęli jak fale wezbranej rzeki, jedni śpiesząc się i przeciskając przez tłumy, inni zwolna i leniwie jakby żadnego przed sobą nie widzieli celu.

Tłoczono się około kiosków gdzie sprzedają gazety, kawiarnie przepełnione były publicznością pośród której uwijali się handlarze lasek zachwalając panom swój towar. Środkiem ulicy powozy, dorożki i omnibusy krzyżowały się w rozmaitych kierunkach, powstrzymywane tylko od czasu do czasu przez agenta policyjnego, który robił miejsce przechodniom, dążącym na drugą stronę ulicy.

Turkot kół, stukot kopyt końskich, krzyki przechodniów i głośne rozmowy przechodzących, zlewały się w jeden gwar potężny i niezrozumiały jakim zazwyczaj wielkie miasto odzywa się nad wieczorem, gdy po znojnie spędzonym dniu, szuka spokoju i odpoczynku w ciszy nocnej.

Wśród tłumu dążącego w stronę Chaussée-d'Antin przeciskało się dwóch młodych i elegancko ubranych mężczyzn.

Z uprzejmością właściwą Paryżanom wymijali każdego, prześlizgując się zręcznie przez zapchane chodniki. Zdawać się mogło, że wzrokiem szukają kogoś w tłumie. Skoro dotarli do rogu uliczki Jouffroy, zawahali się obydwaj.

— Nie widzę jej wcale — odezwał się starszy.

— W każdym razie nie stójmy tutaj — dodał drugi.

I znów zaczęli iść dalej.

— Powiem otwarcie — rzekł po krótkiej chwili milczenia, że nie masz dla mnie nic głupszego nad ściganie kobiety, spokojnie idącej przez ulicę. Jeżeli to istota nie wielkiej moralnej wartości, to cóż w tem za przyjemność, jeśli zaś uczciwa kobieta, ściganie staje się bezcelowem. I w pierwszym i w drugim wypadku szkoda na to tracić czasu.

— Pozwól, kochany przyjacielu, zwrócić sobie uwagę, że jak w tej chwili, nie straciliśmy wiele czasu na naszą pogoń, gdyż zachwycająca osóbka, którą ścigamy od pięciu minut, szła w tę samą co i my stronę. Zresztą ja tak lubię patrzyć na chód paryżanki a ta wyjątkowo miała eleganckie i wdzięczne ruchy. Możnaby sądzić, że w jej żyłach płynie czysta krew.

— Na honor! Mówisz o niej jak o której z twoich wyścigowych klaczy.

— Eh! przecież to nie jest żadnem ubliżeniem, ani dla kobiety, ani... Ale otóż i ona!

Tymczasem kobieta o której z takiem ożywieniem rozmawiali przyjaciele, nie domyślając się bynajmniej jakie wywołała wrażenie, szła szybko bulwarem Barbedienne kierując się w stronę przedmieścia Poissonnière.

Ponieważ tu było już mniej ludno, z większą zatem swobodą można było krążyć po ulicy. Nasi dwaj przyjaciele mogli więc przysunąć się do nieznajomej i lepiej jej się przypatrzyć. Ubrana była bardzo skromnie, krótki sukienny kaftaniczek obciskał wysmukłą jej kibić, ciemno brązowa bez żadnych ozdób gustownie jednak zrobiona sukienka i czarny słomkowy kapelusz bez piór i kwiatów, dopełniały tego skromnego stroju. Z pod kapelusza wymykały się pukle ciemno blond włosów, rysów twarzy nie można było dobrze rozeznać z powodu gęstej woalki.

Ubranie nie zdradzało bynajmniej osoby należącej do wyższych sfer towarzyskich, musiała to być szwaczka, modniarka lub panna służąca jakiego średniej zamożnego domu, a może biedna nauczycielka muzyki wracająca do siebie po całodziennej nużącej pracy. Lecz w ruchach jej i w chodzie przebijał się taki wdzięk, cała jej postać miała taki szlachetny układ, że można było nie dowierzać pozorom i wziąć ją raczej za przebraną damę wielkiego świata.

Szła prędko, nie oglądając się po za siebie, nie zatrzymując się przed wystawami sklepowemi a odgłos jej kroków odbijał się miarowo na asfaltowym chodniku.

Dwaj przyjaciele zrównali się wkrótce z nieznajomą i zaczęli jej się nieznacznie przypatrywać. Znalazłszy się blizko niej, uczuli się nagle onieśmieleni wobec dziewiczej skromności jaka malowała się w postaci i ruchach młodej kobiety.

Po za woalką nie mogli dobrze rozróżnić rysów jej twarzy, lecz zgrabnie wykrojone usta, kształtny i biały podbródek i promiennym blaskiem jaśniejące oczy, zdawały się potwierdzać przypuszczenie, że nieznajoma jest ładną.

Podobne przypuszczenia często bywają mylne i tu więc mogło nastąpić rozczarowanie.

— Jeśli ona pójdzie ku Saint-Dénis, kłaniam uniżenie, nie myślę jej gonić — zaczął młodszy z owych dwóch mężczyzn. Nie mam wcale ochoty iść za nią aż do Bastylii.

Rozmawiając w ten sposób doszli do rogu przedmieścia Poissonnière. Tu idąca przed nimi nieznajoma zawahała się chwilkę nad przejściem szeroko rozlanego rynsztoka, poczem unosząc zlekka sukienkę, przeskoczyła go lekko i zgrabnie, ukazując przytem ślicznie zbudowaną nóżkę.

Gdy skręciła w przedmieście Poissonnière, starszy z dwóch mężczyzn rzekł śmiejąc się do młodszego:

— Nasza nieznajoma idzie najwyraźniej do twojej babki.

— A może też właśnie do konserwatoryum.

— W takim razie nie byłaby przechodziła na drugą stronę ulicy.

Przyśpieszyli kroku i zrównali się z młodą kobietą, która instynktownie odczuła, że stała się przedmiotam ciekawości, zwróciła więc chłodne i spokojne spojrzenie w stronę ścigających ją mężczyzn, a na ustach jej jakiś pogardliwy zarysował się wyraz.

Pomimo pozornej odwagi zadrżała, widząc, że jest przedmiotem uwagi dwóch młodych ludzi, lecz było to może raczej skutkiem niezadowolenia niż obawy i przyśpieszywszy kroku zniknęła w bramie jakiegoś wielkiego domu.

Dwaj przyjaciele, którzy prawie równocześnie z nią zatrzymali się przed domem, popatrzywszy na siebie chwilkę w milczeniu, głośnym parsknęli śmiechem.

— A cóż, czy nie mówiłem ci, że ona idzie do twojej babki?

— Wszak weszła tylko do bramy, zkąd zapewnie wyjdzie za chwilę.

W istocie młoda kobieta ukazała się znów w progu z kluczem i sporą jakąś w szary perkal owiniętą paczką w ręku.

Spostrzegłszy wyczekujących przed bramą mężczyzn, z niecierpliwością odwróciła głowę i otwierając sień, wiodącą na małe schodki z prawej strony bramy, znikła w jej wnętrzu.

— Najwyraźniej mieszka w tym samym domu— rzekł młodszy — i dziwna rzecz, że ją dopiero pierwszy raz widzę. Są tam wprawdzie pod strychem małe mieszkanka i nieznajoma nasza musi jedno z nich zajmować, co dowodzi, że jest ubogą. No, bądź co bądź polowanie już skończone, spodziewam się, że nie masz ochoty drapać się na piąte piętro po to, aby ci cnotliwie zamknęła drzwi przed nosem? Zapomnijmy o tej całej przygodzie i chodźmy lepiej na obiad.

— Spytaj odźwiernego jak ona się nazywa.

— Mogę to uczynić dla ciebie.

Młody człowiek otworzył drzwi do izdebki odźwiernego, gdzie staruszek siwy jak gołąb' siedząc na fotelu obitym skórą, czytał wieczorną gazetę. Spostrzegłszy wchodzącego podniósł się z pośpiechem i uśmiechając się dobrodusznie zdjął kapelusz z głowy.

— Ojcze Anzelmie — spytał młody człowiek— kto jest ta osoba co przed chwilą wyszła tu od was?

— To panna Helena, lokatorka z piątego piętra, panie Ludwiku, bardzo spokojna, uczciwa i odważna dziewczyna... Cały dzień pracuje w magazynie a wieczorem robi koronki... nieraz i do północy przesiedzi nad robotą... Moja żona usługuje jej i nazywamy ją też poprostu panną Heleną, chociaż w istocie nazwisko jej jest Graville... Mieszka już tutaj półtora roku a nie naraziła się nikomu.

— Dziękuję wam, ojcze Anzelmie — przerwał młody człowiek, widząc, że gadatliwy staruszek ma ochotę skreślić jeszcze bardziej szczegółową biografię młodej lokatorki i skinąwszy mu głową, powrócił do oczekującego nań towarzysza.

— Nazywa się Helena Graville i pracuje w magazynie... jest skromna, uczciwa i odźwierny zachwyca się jej taktem... Jeżeli zatem chcesz się z nią ożenić...

— Niech cię dyabli porwą z twemi konceptami!

— Jeśli nie masz do tego powołania, to chodźmy na obiad. Już po wpół do ósmej i tak więc spóźnimy się a moja babcia nie lubi tego.

Mówiąc to, wprowadził towarzysza na obszerny dziedziniec w głębi którego wznosił się ładny pałacyk.

Pałacyk ten z jednej strony wychodził na przedmieście Poissonière a z drugiej przylegał do rozległego ogrodu, który ciągnął się aż do ulicy d'Hauteville.

Była to posiadłość zwana Hèraul Gandon, zbudowana za czasów Ludwika XV przez finansistę la Grimonière, dla którego stanowiła letnią rezydencyą.

Mała rzeczułka, z której obecnie nie ma ani śladu, wiła się wśród parku i uchodziła do la Grande-Batelière, zasilając po drodze marmurowe wodotryski, na miejscu których zbudowano później niektóre domy przy ulicy d'Enhien.

W roku 1852 pałacyk nabył bogaty przemysłowiec Hérault-Gandon, którego żelazne fabryki najznakomitsze są w całem Saint-Dénis. Od lat trzydziestu dom ten był rezydencyą jego rodziny, obecnie zaś mieszkała w nim sędziwa pani Hérault ze swoim wnukiem Ludwikiem, jedynym spadkobiercą nazwiska i majątku.

Ludwik i jego przyjaciel po kilku marmurowych schodkach dostali się do przedsionka, którego drzwi otworzył przed nimi lokaj w czarną przyodziany liberyą.

— Czy pani nie czekała na mnie z obiadem? — spytał młody człowiek, biorąc ze srebrnej tacy listy i gazety.

— Pani z panną Lereboulley może przed kwadransem siadła już do stołu.

— O! jeśli Emilia jest u nas, to babcia musi być zadowolona ze wszystkiego — rzekł Ludwik, zwracając się do przyjaciela.

Po szerokich, kamiennych schodach, drogiemi wysłanych dywanami, dwaj młodzi ludzie dostali się do sklepionej na pierwszem piętrze galeryi. Szwajcar siedzący przy rzeźbionym stole z miną poważną i uroczystą, jak dyrektor jakiej instytucyi, ujrzawszy wchodzących podniósł się zwolna, odebrał od nich laski i palta i otworzył przed nimi drzwi do salonu.

Była to obszerna, wykwintnie umeblowana komnata. Mnóstwo stoliczków zastawionych kosztownemi cackami z porcelany, ozdobnych parawaników, mających chronić od wiatru i przeciągów, oraz kanapek i fantazyjnych fotelików, zapełniało w pozornym a harmonijnym nieładzie cały salon.

Pomimo wiosny na kominku z białego marmuru przyozdobionym złoconemi bronzami, suty palił się ogień. Przez otwarte okna ciepły wietrzyk dostawał się do wnętrza pokoju, przynosząc z sobą zapach świeżej zieloności.

W koszyczku miękko wysłanym haftowanym atłasem, spał mały piesek o długiej srebrno połyskującej sierci.

Usłyszawszy szmer, pies podniósł ociężałe powieki a poznając przybyłych przyjaciół, pokręcił radośnie ogonem i znów w lubej pogrążył się drzemce. Za drzwiami sąsiedniego pokoju słychać było zmieszany szmer głosów i dźwięk sreber i kryształów.

Ludwik otworzył drzwi i wpuszczając przed sobą przyjaciela, rzekł wesoło:

— Czy panie przyjmą nas do swego towarzystwa, czy też mamy iść na obiad do jakiej garnkuchni?

— A! jesteś przecie szkaradny chłopcze — odrzekła babka, podnosząc się z krzesła z wyrazem widocznego zadowolenia. Witam pana, panie de Thauziat... siadaj pan koło Emilki...

A zwracając się do służby dodała:

— Śpieszcie się, co żywo dwa nakrycia!

Poczem wziąwszy wnuka za rękę, jakby w obawie aby jej nie uciekł, posadziła go obok siebie i z czułością spoglądała na niego.

Pani Hérault była siwą jak gołąb' staruszką, lecz świeża cera i żywy blask oczu dowodziły jeszcze czerstwości i zdrowia, któremi dotychczas się cieszyła. Skromna czarna suknia i wełniana chustka zarzucona na ramiona, nadawały jej pozór osoby średnio zamożnej i dziwną stanowiły sprzeczność ze zbytkownem urządzeniem obszernej jadalni, której ściany Largillière cudownemi pokrył malowidłami a sufit był arcydziełem pędzla Coypel'a wyobrażającem wojnę bogów z tytanami.

— Prawda Emilko, że miłą mamy niespodziankę — zaczęła z ożywieniem staruszka, sądziłam, że we dwie tylko zjemy obiad a tymczasem los zesłał nam tak przyjemne towarzystwo.

Osoba do której pani Hérault zwróciła mowę, siedziała z przeciwnej strony nakrytego stołu, była to młoda panna lecz tak brzydka i chorobliwie wyglądająca, że aż litość brała patrzyć na nią. Ostro zakończony podbródek, zacięte usta i nos śpiczasty nadawały jej twarzy wyraz złośliwej ironii, szczęściem, że szerokie, myślące czoło, okolone pysznemi blond włosami, łagodziło niekorzystne wrażenie wywołane widokiem niższej części twarzy. Postać drobna, nieco skrzywiona, zakończona chudemi, długiemi ramionami, której malutkie ręce wspaniałe zdobiły pierścionki, harmonizowała z oryginalną główką wznoszącą się na szczupłych ramionach.

Emilia ubrana była z wielką elegancyą, ale bez tej powabnej staranności, która charakteryzuje kobietę pragnącą się wszystkim podobać. Znać było, że rozsądnie wyrzekła się wszelkiej pretensyi, któraby ją tylko śmiesznością okryć mogła i że znając swoją brzydotę, pragnęła być raczej przyjaciółką i towarzyszką, niż ideałem mężczyzn.

Patrząc na nią można było mniemać, że ma już lat trzydzieści, choć w istocie miała zaledwie rok dwudziesty piąty.

Emilia, jedyna córka Sebastyana Lereboulley, senatora, dawnego ministra i jednego z najbogatszych finasistów w Europie, straciła matkę bardzo wcześnie i wychowaną została przez nauczycielkę Angielkę, od której przejęła pewną swobodę w obejściu nie pozbawioną jednak cechy dobrego wychowania. Ojciec po swojemu kochający jedynaczkę, nie krępował w niczem jej gustów i upodobań; zbyt zajęty interesami, polityką i uwielbianiem płci pięknej, do której zapał nie ostudziły w nim nawet lata, nie miał czasu zajmować się córką i pozwalał jej poświęcać się sztuce i poszukiwaniu piękna.

Emilia chętnie przebywała w towarzystwie artystów, upośledzona od natury starała się umysłowem wykształceniem podnieść tak wysoko, aby zastąpić brak wdzięków i urody i musimy przyznać, że udało jej się to w zupełności. Do malarstwa i rzeźbiarstwa miała talent niepospolity, który zapewniłby przyszłość niejednej ubogiej dziewczynie, przytem wysoko wykształcona, dowcipna a nawet trochę złośliwa, miała niezmierne powodzenie w świecie i mnóstwo konkurentów, których nęcił olbrzymi majątek. Dowcip jej jednak nie dotknął nigdy człowieka skromnego, tylko z zarozumialców i intrygantów szydziła niemiłosiernie.

Wielu młodych ludzi należących do arystokracyi rodowej lub finansowej, ubiegało się o jej rękę, lecz Emilia stanowczo odmawiała wszystkim, mówiąc, że ma za wiele dumy aby miała zgodzić się na małżeństwo bez miłości i zawiele rozsądku aby mogła uwierzyć, że się w niej kto pokocha.

To pełne goryczy przekonanie zdradzające niepospolitą czułość powstrzymywaną tylko siłą woli, nie zraziło wytrwalszych konkurentów. Przypuszczali oni, że w chwili niezadowolenia, gniewu lub kaprysu, bogata dziedziczka odda któremu z nich swoją rękę a wraz z nią milionowy posag, ów główny cel wszystkich ich zabiegów.

Z pomiędzy mnóstwa młodych ludzi, których znała Emilia, dwóch tylko mogło sobie pochlebiać, że są przedmiotem szczerej życzliwości ze strony panny Lereboulley i ci to właśnie szczęśliwi wybrani, zjawili się przed chwilą w jadalni pałacyku Hérault.

Jeden z nich Ludwik Hérault, towarzysz lat młodocianych Emilii, był dla niej niemal bratem. Drugi Klemens de Thauziat przyjaciel Ludwika, który nigdy nie odgrywał roli konkurenta, uzyskał też wprędce życzliwość Emilii.

Młoda dziewczyna obchodziła się z nim po przyjacielsku choć nieraz dokuczyła mu złośliwie, jak kotka co raz drapie a drugi raz chowa pazurki, wszystko to jednak nie psuło dobrej między nimi harmonii i de Thauziat mógł to już nazwać tryumfem, że panna Lereboulley nie pogardzała nim jak innymi.

Zresztą de Thauziat nie należał do rzędu ludzi naiwnych i napadnięty potrafił bronić się doskonale. Doszedłszy lat czterdziestu wyglądał jeszcze bardzo młodo; był to prawdziwie piękny mężczyzna, brunet o pociągłych, regularnych rysach twarzy przypominających typ arabski. Czarne oczy i takaż lekko wijąca się broda, uzupełniały ten ideał męzkiej piękności.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Parasoliki i Parasole.

Moda, której godłem zmienność i w parasolikach coraz nowe zaprowadza zmiany, tak w kolorach jak w formie. A że jest to pora zaopatrywania się w parasoliki, niezbędne dla każdej z pań, dla wygody Czytelniczek Tygodnika Mód, podajemy krótkie opisy i ceny, od najkosztowniejszych do najtańszych, jakie oglądaliśmy w wielkim składzie futer i parasoli pp. Bober i Kowalski, dawniej Penkali, przy ulicy Senatorskiej.

Jasne jedwabne, strojne, całe pokryte lub suto fantazyjne przybrane koronką, z ozdobnemi rączkami, od 10 do 25 rs. Nową formą, kwadratowe, kryte materyą; na niej zarzucone dwie kwadratowe białe lub crême kanwowe chusteczki, z kolorowym haftem, strojne szeroką koronką w zupełnie nowym układzie. Jedwabne, haftowane szydełkiem, od 8 do 11 rs.

Zupełna nowość; forma pięciokątna; pokryte gładką jasną materyą, przysłoniętą białym lub crême jedwabnym haftowanym tiulem, ozdobione takąż koronką, cena od 10 do 15 rs. Kto lubi oryginalne: na jedwabnem podszyciu, suto i bardzo zręcznie układana w drobne bufki krepa jedwabna przerabiana, w kolorze bordeaux, oszyty szeroką koronką, rączka ozdobna.

Tak zwane *en tout cas* w różnych ciemnych kolorach, większe i mniejsze, zazwyczaj nie zbyt jasne u niektórych rączki i futerały z takiej samej materyi, co stanowi zupełną nowość. Niektóre mają pręciki zakończone drucikami ze srebrnemi gałkami, które w złożonym parasoliku tworzą jakby koronę o kilku gałkach. U innych są rączki naśladujące niby antyki złote lub oksydowane srebrne, lub drewniane z ozdobnemi ażurowo rzeźbionemi główkami. Wszystkie w ogóle parasoliki, strojne są sutemi kokardami i sznelowemi kwastami. Cena od 9 do 13 rs., zwykłe od 3 rs. 50 kopiejek.

Deszczowe parasole damskie, z kosztownemi szyldkretowemi rączkami, z materyi czarnej, brązowej, granatowej, w kolorową kratkę lub paski, od 9 do 12 rs. i 20 do 25 rs. Nie jedwabne od 3 rs. Chińskie, japońskie, zwane Mikado i inne z zefiru lub bawełnianego fularu, najstosowniejsze na wieś, od 2 rs. 50 kop.

Dobry i praktyczny jest pomysł kokard u wierzchu rączki, składanych z podwójnej wstążki lub materyi; jeden pukiel tak szeroki, aby ręka przeszła swobodnie, nad nim suta kokarda, co dozwala złożony parasolik zakładać na rękę.

Wogóle w składzie tym wybór jest tak wielki i ceny tak rozmaite, iż każdy może dobrać według swego gustu czy możności.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

26 Kwietnia 1888 roku.

Dzięki wystawom po magazynach, mamy jakieś pojęcie o modach wiosennych i letnich, gdyby nie to niktby o nich nie wiedział, w ogrodach bowiem i na bulwarach, z powodu zimna i bezustannego deszczu, widzimy tylko zużyte kapelusze i okrywki zimowe. Patrząc na te stosy batystów, satinetek, perkalin indyjskich i wełnianych muszlinów, pytamy kiedy je spożytkują paryżanki, skoro dotąd nie słychać o wiośnie, a z Sierpniem kończy się tutejsze lato.

Na suknie i kostyumy letnie w ogólności, przyjęte w tym roku wszystkie odcienia szare: niewarowy, orzechowy, piaskowy, wydrowy i tak zwany *bis* czyli kolor razowego chleba. Na takiem tle widzimy rzucane bukieciki z drobniuchnych kwiatków w guście perskim, lub też leciuchne gałązki bez liści, niekiedy drobne punkciki białe, albo też wązkie prążki. Fulary i muszliny wełniane takiż sam mają deseń. Modny też bardzo kolor zielonkowaty w dzikich odcieniach: mchowy, oliwkowy, rozmarynowy a szczególniej bluszczowy. Mało widać tkanin letnich w tym kolorze, używają go raczej do przybrania sukien i na wstążki do kapeluszy. Kolor ponsowy w rozmaitych odcieniach, bardzo też przyjęty w tym roku.

W formie sukien i kostyumów, nie spostrzegamy dotąd stanowczej zmiany, panuje w tym względzie wielka rozmaitość. Wprawdzie pojawiają się suknie zwane *Empire*, z równospadającą spódnicą, bez podpięcia, mimo to tuniki i draperye dotąd nie ustąpiły i nie prędko zapewne ustąpią, to tylko powiedzieć można, że znacznie się zmniejszyły przez co ubranie zyskało wiele na prostocie i na powadze. A teraz zwróćmy uwagę na modele strojów letnich, nabytych tu przez panie Kuhnke. Zaczynamy od kapeluszy, jako najpotrzebniejszych na tę porę.

Kapelusze wiązane czyli kapotki, mają wogólności główkę nizką, rondko płaskie po bokach podniesione w górę nad czołem. Wielkie koki, upięte w pośrodku, pomieszane z bukietem kwiatów, nadają im formę piramidalną. Szarfy nie zbyt szerokie, przytwierdzają się w tyle główki i odwracane naprzód, służą do wiązania pod brodą. Kapotki czarne koronkowe należą do najmodniejszych, u niektórych rondo dosyć szerokie i otwarte.

Oto szczegółowy opis modeli.

Kapotka czarna, główka pokryta tiulem w dżetowe muszki, rondko dosyć duże, otwarte, z koronki namarszczonej z wierzchu i pod spodem. Na główie fantastyczne pukle z czarnej morowej wstążki, pomieszanej z koronką. Pod rondem podpięty pęk fiołków Nicejskich w blado lilla odcieniu. Szarfy szerokie koronkowe idą od dołu główki i służą do związania, lub przerzucenia pod brodą.

Druga kapotka z czarnej gipiury: rondko podniesione w ząb, podgarnirowane rzęsisto wązką ponsową gipiurą. Przez wierzch rzucona gipiura czarna, z przodu ujęta w pukiel, w tyle główki przepięta kokardą ze wstążki czarnej, od której końce odwracają się i wiążą z przodu na kokardę.

Trzeci kapelusz z gazy jedwabnej zahaftowanej pelą w odcieniu śmietankowym. Nad czołem puf z gazy, przepięty nafałdowanym aksamitem, koloru wydrowego *loutre*, po prawej stronie kokarda z jaśniejszej wstążki, po lewej bukiecik z pączków, na długich i cienkich łodygach.

Czwarta kapotka ze złotej siatki, powleczona czarną koronką. Rondko podniesione w górę, podpięte całe bluszczowemi listkami. Na główce bukiet z róż i rezedy przepinany kokami ze wstążki w kolorze bluszczowym, takież szarfy puszczone od tyłu główki.

Piąty kapelusz bardzo oryginalny: denko ze słomki czarnej, złożone w pół, tworzy z przodu ząb w górę podniesiony, w tyle zaokrągloną główkę. Ząb ten nad czołem podgarnirowany rzęsisto koronką czarną; w środku wpięty ciemno ponsowy aksamitny bratek. Po bokach idzie nagarnirowana w górę koronka, przytwierdzona wielkiemi ponsowemi bratkami. Od tyłu spadają wstążki ponsowe do wiązania.

W kapeluszach okrągłych większa jeszcze panuje rozmaitość pod względem formy i rozmiarów, nadano im różne nazwy: *Hidalgo, Amazonka, Stefania* i t. d., nad wszystkiemi jednak panują kapelusiki zwane *Tosca*, pomysłu Sary Bernard, jedne z nich wielkie, drugie zupełnie małe. Oto opis kilku modeli:

Kapelusz *Tosca* ze słomki czarnej, rondo szerokie, podszyte słomką ponsową w rakowym odcieniu. Do główki wpięty pęk czarnych piór strusich i koki z ponsowej wstążki morowej.

Inny w tymże rodzaju; rondo wielkie ze słomy białej, podszyte namarszczoną koronką czarną. Główka z klarownej petinety, nagarnirowana koronką, z boku pęk róż w rozmaitych odcieniach.

Trzeci mały kapelusik *Petit Tosca*, ze słomki brukselskiej; rondo podniesione w górę, podbite czarnym aksamitem; wypuszczony brzeg, przybrany wstążką słomkowego koloru. Nad czołem pęczek narcyzów białych i blado żółtych. Od tyłu główki upięte dwa pukle ze wstążki paliowej, z pomiędzy nich wybiega wiązka narcyzów, poniżej dwie czarne wstążeczki, wiążą się na długą kokardę.

Czwarty mały *Tosca*, z rondkiem na dół spuszczonem, ubrany gazą w śmietankowem odcieniu, z wierzchu przypięta róża. Długi koniec gazowy, spadający od główki, okręca się lekko w około gorsu.

Piąty toczek z odwiniętem rondkiem, koloru jasno morderowego: rondko to ozdobione torsadą słomkową w naturalnym kolorze. Z lewego boku upięte koki morderowe, podnoszą się w górę, poniżej kokarda ze wstążki śmietankowej.

Szósty kapelusik *Amazone*, ryżowy, wcale nie podszyty, ubrany kokami z czarnego aksamitu i białem strusiem piórem.

Siódmy czarny *Hidalgo* ze słomki czarnej: nad rondem koki koloru bluszczowego, cały kapelusz zasiany palietkami tegoż koloru.

Przejdźmy z kolei do okrywek nabytych na model: jedne długie z końcami, inne krótkie sięgają tylko do stanu. Dajemy tu ich opis szczegółowy.

Okrywka do wód, z cienkiego sukienka w kolorze ciemno-morderowym, podbita lekkim atłasem w paski morderowe na tle szamoa. Plecy wcięte do figury, nieco przedłużone; od nich zachodzą naprzód szerokie podwinięte rękawy. W koło nich zarówno jak w tyle naszyta piękna pasmanterya, złożona z wałeczków szmuklerskich szamoa, przeplatanych w kratę na tle morderowem. Kołnierzyk stojący, spięty u szyi bogatą rozetą z wisiorkami.

Druga mała wizytka czarna jedwabna (*faille francaise*) w rodzaju żakietki; w tyle krótka, z przodu przedłużona. Od pleców wychodzi rękaw, ścięty u ręki. Przody wyłożone gładko gipiurą, u dołu tylko spada namarszczony wolant. Całe plecy powleczone takąż koronką. Kołnierzyk stojący, na rękawach koronka naszyta płasko w formie wachlarza.

Trzecia wizytka z szarego sukienka: plecy rozcięte, ułożone w fałdy; w pośrodku plastron jedwabny tegoż koloru. Przody z długiemi końcami otwarte w górze; pod spód idzie kamizelka jedwabna; kołnierz i mankiety z materyi. Cała wizytka podbita atłasem szarym, przybrana rozetami z pasmanteryi w tymże samym kolorze.

Nie pozostaje nam już miejsca na szczegółowy opis kilku letnich kostyumów nabytych na model: poprzestać musimy na krótkiej o nich wzmiance. Odznaczał się między niemi jasno-czekoladowy, z lekkiej tkaniny wełnianej, na takiejże spódniczce w ciemne pasy, z kamizelką w śmietankowym kolorze, naszytą złotym galonem i sznurkiem ciemnoczekoladowym. Drugi kostyum z letniego szewiotu, popielato-niebieskawy, na jedwabnej spódniczce. miał też jedwabną kamizelkę szamerowaną złotem. Galony złote rozmaitej szerokości, powszechnie używane do kostyumów wełnianych.

S. D.

WIADOMOŚCI

Z RÓŻNYCH STRON.

Ludzka dola narzekanie, wieczne niezadowolenie z obecności i przewidywanie w przyszłości czegoś jeszcze gorszego. Wśród tych smutków splecionych z westchnień i rąk załamywania, czasem spotkać się można i z uśmiechem niezwykłego wesela, ale ten przemija jak błyskawica i znów wszystko pokrywa chmura burzę zapowiadająca.

Niedawno wznosiły się głosy rozpaczliwe, na klęskę powodzi w wielkości swej prawie niepraktykowanej, dziś nadrzeczni mieszkańcy trwożą się nagłem opadaniem wody w rzekach, przewidując z tego tytułu nowe zalewy zwiększone około św. Jana.

Na zimno, śnieg i flagi narzekano także niedawno, dziś wróżą straszliwe upały w lecie i Warszawiacy na łeb na szyję zajmują się wyszukiwaniem letnich mieszkań, w cenie coraz bardziej podskakujących.

Gniewa ich to ale cóż robić. Warszawa w lecie dławi i dusi, uciekać z niej na gwałt trzeba, kto więc może ucieka i pociesza się obmyślaniem środków odbicia zwiększenia kosztów letniej siedziby.

Wśród tych wzdychań i zwykłej krzątaniny za powszednim chlebem, sprawy ekonomiczne nie idą w zapomnienie.

Sprawa spółki dla wywozu mięsa za granicę znowu wchodzi na porządek dzienny.

Dnia 1 Maja odbędzie się w lokalu Muzeum przemysłowego, zebranie członków przyszłego stowarzyszenia.

Kilka dni temu przybył z Paryża pan Misiewicz i zda sprawę z handlu wędlinami na targach paryzkich.

Wydzierżawiono tam już cztery sklepy.

Sprzedano dotychczas 30,000 kilo wędlin, za które pobierano w sprzedaży częściowej następujące ceny: 1 kilo szynki 2 franki 50 ctm., 1 kilo szynki w pęcherzu 3 fr., polędwica kilo 3 fr.

W sprzedaży hurtowej sprzedawano szynkę zwyczajną po cenie 2 fr. kilo.

Najlepszemi wędlinami okazały się litewskie.

W tych dniach zapotrzebowano do Paryża znaczną ilość wędzonych kiełbas.

Podobno na cele eksportu ma być założoną w Warszawie specyalna wędliniarnia.

W Warszawie powstała także nowa fabryka farbki do bielizny. Właścicielem jest krajowiec. Projekt założenia w mieście naszem fabryki maszyn drukarskich, o którym wspominaliśmy przed dwoma miesiącami, nadspodziewanie rychło zostaje urzeczywistniony.

Tutejszy przemysłowiec, pan Jakób Fajans, otwiera z dniem 1 Lipca pod firmą Albert i Fajans wielką fabrykę wszelkiego rodzaju maszyn drukarskich tak zwyczajnych jak i pośpiesznych, oraz litograficznych.

Maszyny takie do tej pory wyłącznie sprowadzane były z zagranicy.

Wobec wysokiego kursu waluty zagranicznej, oraz równie wysokiego cła od maszyn drukarskich, nowe przedsiębierstwo, zwłaszcza przy rozwinięciu eksportu do Cesarstwa, może liczyć na wielkie powodzenie.

Po krawatach złotych, srebrnych i gumowych przyszła kolej na... drewniane.

Jeden z tutejszych mieszkańców rozpoczął wyrób krawatów z włókien drzewnych, rozmaicie zabarwianych.

Swojski produkt będzie okazywany na wystawie rolniczej w celu zachęcenia publiczności do kupna.

Brylanty w zębach. Dzienniki amerykańskie donoszą, iż panie w Nowym Jorku wymyśliły nową i przyznać wypada, wcale oryginalną modę. Oto ani mniej ani więcej, wprowadzają zwyczaj wysadzania zębów własnych brylantami. Moda ta rozprzestrzeniła się po całej Ameryce. Podobno córka jednego z bogatych kupców z Louisville, odbyła w tych czasach umyślnie z ojcem podróż do Nowego Jorku, aby tam zęby swoje dyamentami inkrustować. Ha! komu nie żal zębów a starczy brylantów, może się na uśmiechy zdobywać brylantowe i brylantami jadać.

Czajkowski. Ruski maestro jest obecnie przedmiotem licznych owacyi w Paryżu.

Urządzał on koncerty w Berlinie, Hamburgu i Lipsku; na tym ostatnim, znajdujący się pomiędzy słuchaczami Brahms i Grieg wyrazili swe uwielbienie ruskiemu kompozytorowi. Z okazyi jego pobytu w Paryżu, Figaro podaje biografię maestra. Urodzony w roku 1840 w Wiatce z ojca inżyniera i matki pochodzącej z rodziny francuzkiej, Czajkowski, za wolą ojca, kształcił się na prawnika i dopiero wszedłszy do ministeryum sprawiedliwości, zaczął pobierać lekcye muzyki od pierwszorzędnych pianistów, jako to Rubinsteina, Zaremby i Fündigera. Szybkie postępy, jakie czynił, były dlań wskazówką dalszej karyery. Po czteroletnich studyach w rodzinnym kraju, wyjechaj następnie do Niemiec; uległ on tu nowożytnemu prądowi i stał się zapalonym zwolennikiem zasad muzykalnych Schumana. Za powrotem do ojczyzny, oddał się jednocześnie kompozycyi i nauczycielstwu, zajmując przez lat 11 posadę profesora moskiewskiego konserwatoryum. Utwory jego są bardzo liczne. Wydał już 300 kompozycyi najróżnorodniejszych, od symfonii do oper komicznych. Piękne jego, melodyjne pieśni są znane powszechnie. Ostatnia opera Kaprys Oksany, przedstawiona w roku zeszłym w Moskwie, zyskała niebywałe powodzenie. Inne jego opery są: Joanna d'Arc, Mazepa, Onegin i opera komiczna Wakuła Kowal, za którą na konkursie artystycznym, ogłoszonym przez Wielką Księżnę Helenę Pawłównę, otrzymał pierwszą nagrodę, w sumie 1,000 rs.

Sklep lalek. Księżna Paulina Metternich, niezmordowana w urządzaniu coraz nowych zabaw na cele dobroczynne, zorganizowała w roku bieżącym arystokratyczną trupę aktorów, która w pałacu Liechtenstein w Wiedniu dała szereg przedstawień, złożonych z komedyi i żywych obrazów. Wstęp na to widowisko dozwolony był oczywiście tylko niewielkiemu gronu wybranych i to za opłatą 25 złr. za bilet, a dochód przeznaczony został na powodzian Węgier i Galicyi. Oryginalnym wielce pomysłem była pantomina: Sklep lalek, w której wykonaniu przyjęło udział 38 księżnych i hrabin, księżniczek i hrabianek, książąt i hrabiów.

Gdy podniosła się kurtyna, arystokratyczni widzowie ujrzeli na scenie wielki sklep lalek, pełen różnych zabawek, żołnierzy blaszanych, wózków, zwierząt drewnianych i t. p. Główną uwagę jednak zwróciły na siebie naturalnej wielkości lalki, siedzące sztywnie i nieruchomie na krzesłach. Właścicielką sklepu była księżna Metternich, ubrana w staroświecką suknię z mieniącej się materyi, koloru lila i w wielki czepiec garnirowany białą riuszą z koronki. Role subjektów sklepowych objęli: książę Jan Schwarzenberg wraz z margrabią Aleksandrem Pallavicini, a w chwili gdy ukończyli właśnie sprzątanie w sklepie, oraz okurzanie i porządkowanie lalek, wchodzi wieśniak z wieśniaczką, pragnąc kupić zabawkę. Właścicielka sklepu traktuje ich obojętnie i ożywia się dopiero na widok wchodzącego lorda angielskiego z małżonką, której rolę wykonała hrabina Teresa Salm, ubrana w suknię *faille*, koloru żółtego, w kapotkę tiulową z różami i długie boa ze srebrnych lisów. Na żądanie tych dostojnych klientów, właścicielka rozkazuje subjektom, aby pokazali kilka lalek. Najpierw tedy wysuwa się Chinka, przedstawioną przez hrabinę Julię Hunyady, w czerwonej spódnicy, niebieskim kaftanie chińskim, z haftowanym złotem bocianem na plecach, i chcąc się jaknajlepiej zaprezentować klientom, pokazuje różne chińskie sztuki.

Następnie ukazuje się niemowlę w długiej białej muślinowej sukni w kropki, z niebieską szarfą, w muślinowym kapeluszu i rozpuszczonych jasnych włosach; niemowlę za naciśnięciem sprężyny mówi: tata i mama, a roli jego podjęła się hrabina Karolina Trauttmansdorff.

Hrabina Romanowa Potocka występuje jako Japonka, w sukni różowej *crêpe de Chine*, haftowanej w deseń japoński i podpiętej niebieską szarfą; różową spódnicę pokrywa w części haftowana złotem *Sinko-Poo*, rodzaj udrapowanej tuniki, podpinanej brylantowemi motylami, pawiami i t. p.; hrabina wykonywa taniec z wachlarzami. Ale milord i milady są wybredni, żądają coraz nowych lalek, a subjekci posłuszni prezentują kolejno: Hiszpankę, Bulgarkę, markietankę, kwiaciarkę, arlekina, poliszynela i t. p., wykonywających bądź tańce narodowe, bądź różne figle i sztuki.

W końcu powstaje w sklepie taki zamęt, że wszystkie lalki zaczynają się same ruszać na miejscach, co widząc właścicielka sklepu mdleje z przerażenia.

W tejże chwili bije północ i na obłoku spływają: bogini lalek w osobie hrabiny Klotyldy Mensdorff w białej sukni przetykanej srebrem, w białej zasłonie podpiętej srebrnemi agrafami i 2 elfy

w postaci hrabianek Pauli i Anny Revertera w fałdzistych białych sukniach ze srebrnemi skrzydłami. Elfy rzucają kwiaty między lalki, które budzą się do życia, podnoszą się z miejsc swoich, stają w szeregu i wykonywają różne tańce, zakończone szaloną galopadą.

Pantomina ta cieszyła się niesłychanem powodzeniem, kurtyna podnosiła się na żądanie widzów niezliczoną moc razy. Najkomiczniejszem efektem było rzekome nakręcanie lalek przez subjektów, które następnie opuszczały ręce i stawały sztywnie, jak automaty, skoro sprężyna przestała niby działać.

— Nie ma pan pojęcia jak się zmartwiłam śmiercią mego Azorka. Gdym go ujrzała leżącego bez życia, to prawie przez tydzień nic do ust wziąć nie mogłam.

— Wierzę, bardzo wierzę, takie nieżyjące zwierzę to coś bardzo obrzydliwego.

* * *

— Oznajmiam ci oskarżony o oszustwo, że zeznaniu twojem w niczem nie ma zgody z zeznaniem twego wspólnika.

— Wierzę temu, bo każdy stara się wykręcić jak może.

* * *

Czy to prawda że mają wziąć pana X. do domu obłąkanych?

Rozmawiałem z nim onegdaj i nic mi o tem nie wspomniał.

* * *

Z dykcyonarza humorysty. *Aktorka* — osoba, która nas zwodzi mówiąc że gra komedyę, różni się tem od kobiety światowej, że ta nas zwodzi właśnie wtenczas, gdy mówi, że jej nie gra.

Bankier — człowiek, który wypożycza swoje i cudze pieniądze, o ile się da najdrożej; konia z rzędem temu, kto określi, gdzie mianowicie kończy się bankier, a zaczyna lichwiarz.

Chór — śpiew, w którym się łączą wszystkie głosy, aby nie śpiewać razem.

Dobre towarzystwo — zebranie ludzi dystyngowanych, którzy bawią się... w nudy.

Kandydat — człowiek naginający karku dziś, aby módz zadzierać nosa jutro.

Kawaler — niewolnik, który się dał przykuć do pół tuzina łańcuchów, chcąc uniknąć jednego.

Tandeciarz — kupiec, który sprzedaje nowe rzeczy za stare, a stare za nowe.

Wół — czworonożny stróż haremowy; żyje bez namiętności, lubiany jest dopiero po śmierci.

* * *

Zabawa w męża i żonę. Czy wiesz, mamo, mówi mała Zosia—bawiliśmy się z Julkiem w męża i żonę.

— Jakaż to była zabawa?

— Ot tak. Najprzód nakryłam do stołu. Usiedliśmy obok siebie; on skosztował zupę, rzucił łyżkę i powiedział: „Takiego obiadu nie jadłby nawet mój pies!" Wtenczas ja mu powiedziałam, że jest głupi, on mnie wysłał do wszystkich dyabłów i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

* * *

Łatwe poświęcenie. Robercie, musisz przed ślubem zrobić dla mnie małą ofiarę, mówi z umizgiem piękna Mania do swego narzeczonego.

— Dla ciebie każda ofiara będzie mi miłą.

— A więc, obiecaj mi, że nie wypalisz już ani jednego cygara w życiu.

— Przysięgam.

— I nie będziesz żałował tej obietnicy?

— Wcale nie; wolę daleko... fajkę.

RÓŻNE MYŚLI.

Świat jest tak płytki, że nadaje nazwę człowieka dobrego temu, kto nie robi nic złego.

Lévis.

NOWE KSIĄŻKI.

Nadesłane do Redakcyi.

Janek, powieść p. Wincentego Kosiakiewicza. Skład główny w księgarni Gebetnera i Wolffa.

Nakładem księgarni H. Olawskiego wyszedł 4 i 5 zeszyt Geografii popularnej czyli Ziemia w malowniczych obrazach. Opisy najciekawszych krajów ludów i miejscowości według najnowszych źródeł i najcelniejszych autorów, opracował doktor Wł. Wicherkiewicz. Cena jednego zeszytu 15 kop.

Nasi Przyjaciele. Książka przeznaczona dla Dzieci od lat 7 do 10 przez Maryę Weryho. Z ilustracyami F. Brzozowskiego.

ZAWIADOMIENIA.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

TREŚĆ: Z literatury bieżącej. — Z Alfreda de Musset (wiersz). — Nie utonął, nowella, napisała Zbigniewa Zmorska (dalszy ciąg). — Ciekawe zapytanie. — Wola, przez Jerzego Ohnet'a, przekład Bronisławy Kowalskiej. — Parasoliki i parasole. — Korespondencya z Paryża o ubiorach. — Wiadomości z różnych stron. W Dodatku: Klementyna de la Fresnaye (ark. 4).

Дозволено Цензурою. Варшава, 13 Апрѣля 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego. Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.